Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Pierwszy powiew wiosny w kniei. Fot. Konstanty Komierowski.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

Nr. 14 (669) 2 KWIETNIA 1932 R.

O NIEOTRZYMANE NUMERY.

Prosimy uprzejmie o wczesne zawiadamianie nas o nieotrzymanych numerach pisma. Reklamacje będą uwzględniane tylko w ciągu 3 tygodni od daty wyjścia danego numeru.

Niereklamowane numery mogą być odstąpione w cenie 1 zł. za numer, lub o ile są na wyczerpaniu — jedynie w cenie całego rocznika.



Sarny przy remizach. Fot. A. Wiśniewski.

„OCHRONA PRZYRODY — ŁOWIECTWU...“

Lubię przeglądać stare roczniki „Łowca Polskiego". I to nie tylko owe najstarsze, dla dzisiejszych czasów już niemal sędziwe roczniki przedwojenne, mające dla współczesnego pokolenia w wielkiej mierze znaczenie dokumentów bibljograficzno-historycznych, lecz nawet roczniki znacznie „młodsze" — z lat 1928, 1929, 1930, 1931... Taki przegląd starych roczników nie jest bynajmniej zabijaniem czasu, którego się ma nadmiar. Taki przegląd — to retrospektywna rewja mózgów, pracujących na sławę łowiectwa w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu. Taki przegląd — to „wielka parada" myśli łowieckiej, — jej narodzin, ząbkowania, rozrostu i obecnego — trwałego i śmiałego pochodu w przyszłość. Taki przegląd — to niespodziewane „odkrycie" w dalekiej przeszłości pomysłów i idei, które dziś są lansowane, jako stuprocentowa nowość, lub które z wielką szkodą dla pracy społeczno-łowieckiej pokryły się grubą warstwą pyłu zapomnienia.

Dużo, dużo refleksyj przychodzi do głowy, gdy się tak w ciszy wieczornej przegląda stare roczniki pism łowieckich. Jedne z tych refleksyj — to drobne, fragmentaryczne strzępy myśli i zastanowień. Tych jest najwięcej. Ale zdarzają się również refleksje głębsze, zasadnicze. A więc naprzykład taka rewja zdobyczy piśmienniczo-łowieckiej budzi głęboki podziw dla tężyzny, żywotności, trwałości, wielkości samego łowiectwa, jako idei. I przychodzi zastanowienie, że są ideje i — ideje. Są ideje nie tylko nader wzniosłe i ładnie brzmiące, lecz przedewszystkiem — żywe. Takie ideje rozwijają się, znajdują oddźwięk, zyskują zwolenników, rosną i spajają się w mocne kadry organizacyjne, zostawiają na przestrzeni lat piękny i trwały plon pracy dziesiątków, setek i tysięcy mózgów, jak również — jeszcze piękniejszy, jeszcze trwalszy, jeszcze wspanialszy plon realnych, żywych zdobyczy. Taką piękną i żywą zarazem ideą jest ł o w i e c t w o. Aby to udowodnić, nie trzeba operować teoretycznemi przesłankami. Wystarczy obserwować fakty realne. Wystarczy wspomnieć ciężki okres wojenny, gdy piśmiennictwo łowieckie i prasa łowiecka — te sztandary i zarazem latarnie przewodnie pracy łowieckiej zapadły i zgasły na cały szereg lat, gdy niemal przez wszystkie bez wyjątku ziemie polskie przeszła trąba zniszczenia, gdy potem przyszedł okres powojennego zdziczenia, straszniejszego niemal dla naszych zwierzostanów i racjonalnej gospodarki łowieckiej, niż bezpańskość i zapomnienie okresu wojny. Trzeba chyba być najczarniejszym i ślepym pesymistą, by nie widzieć i nie rozumieć, że dziś — po 12 latach — jest lepiej, znacznie lepiej... Mamy ustawę

łowiecką, mamy stały rozrost prasy i literatury myśliwskiej, mamy szereg żywotnych i owocnie pracujących organizacyj łowieckich, mamy wreszcie — i to jest najważniejsze — rozmnożę zwierzyny wszelkiej, a jest jej na niektórych terenach nawet więcej, niż przed wojną. I fakty te obserwujemy w latach niebywale ciężkiego przesilenia gospodarczego, gdy to u najwytrwalszych „ręce opadają", gdy panuje powszechne przygnębienie, gdy wzrok wybiega w przyszłość z nieufnością i lękiem. Czego to dowodzi? Tego, że łowiectwo jest ideą przedewszystkiem żywą, która z ciężkich opresyj wyszła nie tylko bez szwanku, lecz nawet z pewnym zyskiem.

Nie będę tu rozwodził się nad pytaniem, na czem właściwie polega ta żywotność i życiowość łowiectwa. Są to rzeczy znane i przez myśliwych — z małemi wyjątkami — uznane. Żywotność i życiowość idei łowieckiej zasadza się na egoistyczno-psychologicznych i egoistyczno-gospodarczych pierwiastkach łowiectwa, o czem pisałem już obszernie przy okazji zastanawiania się nad „granicami etyki myśliwskiej" (Łow. P. z r. 1931 Nr. Nr. 24 i 26). Tu wystarczy, gdy stwierdzę, że łowiectwo zdało zaszczytnie wielki egzamin żywotności i dojrzałości. Tu wystarczy, gdy podkreślę, że w latach odległych, gdy o ochronie przyrody, jako o idei odrębnej, wogóle nie było jeszcze mowy, łowiectwo już miało swoją prasę, swoją literaturę, swych oddanych mu całą duszą adeptów, którzy na ważnym odcinku ochrony zwierząt dzikich jedynie reprezentowali i pełnili funkcje ochrony przyrody. I nie tylko pełnili, lecz z funkcyj tych wywiązywali się zaszczytnie i owocnie...

Obok idei pięknych i żywych, są ideje bardzo piękne, bardzo wzniosłe, przynoszące zaszczyt rodzajowi ludzkiemu już przez sam fakt, że się z łona tego rodzaju ludzkiego, egoistycznego, brutalnego i półwilczego wylęgły. Ideje te budzą teoretyczny podziw i praktyczną serję sentymentalnych westchnień. Prawie w każdym numerze prasy powszechnej czytamy apel: „opiekuj się matką i dzieckiem". Apel bardzo piękny. Trzeba być potworem, by nie wielbić cudu macierzyństwa i nie lubić dzieci. A jednak — ile ludzi pójdzie na lep tego apelu? Nikt. Dopiero gdy zjawi się u nas kwestarka i będzie nas przez godzinę piłowała o konieczności opiekowania się matką i dzieckiem, to otworzy się nam kabza i kapnie z niej coś niecoś na intencję nie tyle samej opieki nad matką i dzieckiem, ile — bądź pięknych oczu kwestarki, bądź jej natarczywości. Bo są to ideje wprawdzie piękne, wzniosłe, godne podziwu, lecz które nie wytrzymały ogniowej próby życia praktycznego, które dopiero zaczynają stawiać pierwsze, chwiejne kroki rachitycznego niemowlęcia. Bo nie dość jest rzucić hasło: — trzeba umieć je zrealizować. Bo — nie dość chcieć, trzeba jeszcze móc... Otóż za serję haseł, rzuconych w społeczeństwo bez bliższego wyniku, ziszczalnych może w dalekiej przyszłości, uważam naszą ideę ochrony przyrody — w tem stadjum, w jakiem się ona teraz znajduje, w tych metodach, jakiemi dziś operuje i w odniesieniu do ochrony zwierząt łownych. Nie robi ona na mnie w tym zakresie wrażenia idei żywej. Zastrzegam się, że sam jestem gorącym zwolennikiem ochrony przyrody i że krytykuję bynajmniej nie samą ideę, lecz jej nieżyciowość na pewnym odcinku, spowodowaną błędnemi metodami (patrz mój artykuł „Papier i knieja" w „Łowcu Polskim" z r. 1932 Nr. 5).

W szeregu numerów „Łowca Polskiego" z lat ubiegłych i roku bieżącego toczy się ożywiona polemika o odstrzale zwierząt w porze godowej. Polemika nabrała już takiego rozpędu, że przeciętny laik mógłby pomyśleć, iż wybuchła wojna pomiędzy dwoma wrogiemi obozami, z których jeden zwie się „ochoną przyrody", a drugi — „łowiectwem". I próżno historja lat dawniejszych uczy nas, że w czasach, gdy dzisiejszej „ochrony przyrody" wogóle nie było, zwierzynę umiał świetnie ochraniać i rozmnażać reprezentant obozu łowieckiego — myśliwy. Próżno p. mecenas Garczyński (Łowiec Polski Nr. 50 z 1931 r. str. 1013) woła: — Nie należy... przeciwstawiać „obozu ochrony przyrody" — „światu myśliwych"!—Próżno—jeszcze głośniej, jeszcze dobitniej, jeszcze jaskrawiej wołają fakty: że Karol ks. Radziwiłł dochował się w Dawidgródku 140 łosi z 3 sztuk pozostałych po wojnie mimo, że w ordynacji jego stosowany jest odstrzał w porze godowej (Łowiec Polski" Nr. 8 z r. 1932, artykuł p. Gieysztora); że w takim Lubaniu (pow. wilejski, wojew. wileńskie), dzięki sprężystej administracji p. Juljana Dzierdziejewskiego, zwierzostan głuszców wzrósł w trójnasób w porównaniu ze stanem przedwojennym, pomimo intensywnego, zwiększającego się z roku na rok odstrzału w porze godowej: że podobnych, a nawet lepszych rezultatów doczekał się Jan hr. Tyszkiewicz w swych lasach wołożyńskich (wojew. nowogródzkie), odstrzeliwując corocznie po kilkadziesiąt kogutów w porze godowej; że, jak wynika z szeregu artykułów p. p. dr. Zenktelera, H. Knothego, prof. Janusza Domaniewskiego (patrz „Łowiec Polski" Nr. 30 z r. 1930 i Nr. 3, 4, 5, 27, 28 z r. 1931), teoretyczny protest obozu ochrony przyrody przeciwko polowaniu na jelenia w porze godowej, protest, wytoczony „w obronie jelenia karpackiego", znajduje pełne zaprzeczenie w fakcie, stwierdzonym przez taki autorytet, jak prof. Domaniewski, a przez nikogo nie zaprzeczonym, że „właśnie przy tem polowaniu (na rykowisku) jeleń osiągnął maximum swego rozwoju w Karpatach"... i że „faktem jest... że ilość jeleni przy tym typie polowania wzrasta". („Łowiec Polski" z r. 1931 Nr. 27)...

Fakty powyższe już nie mówią, już nie wołają, lecz poprostu krzyczą. Nie przeszkadza to jednak, iż Państwowa Rada Ochrony Przyrody wygłasza — naprzekór tym faktom — apodyktyczną opinję, że „zabijanie zwierząt w porze godowej jest czynnikiem doborowym w sensie ujemnym, prowadzącym w konsekwencji do degeneracji, a następnie do wymierania gatunków" („Łowiec Polski" z r. 1931 Nr. 45 i 46).

Opinja ta znalazła druzgocące, zdaniem mojem, odparowanie w dopisku Redakcji „Łowca Polskiego", która z dużym umiarem i oględnością zauważa: „Większość powołanych opinij *) podana jest bez żadnych motywów, wobec czego trudno jest zająć względem nich jakiekolwiek stanowisko. Nadto opinje te zawierają tezy wysoce sporne, podane w sposób taki,

*) będących podstawą cyt. opinji P. R. O. P. (mój dopisek).

jakby poruszane w nich sprawy były przesądzone. Zasadniczej tezie — bezwzględnej konieczności, ochrony zwierząt i ptaków w czasie godów — przeczy w jaskrawy sposób rzeczywistość i praktyka, a mianowicie — niebywały, powszechny i wciąż jeszcze postępujący wzrost ilości głuszców od czasu, gdy polskie prawodawstwo orgraniczyło na nie polowanie właśnie do pory godowej"...

Poniekąd „na usprawiedliwienie" Państwowej Rady Ochrony Przyrody można powiedzieć, że wypowiedziała się ona w omawianej kwestji, na wyraźne wezwanie „obozu myśliwskiego" (artykuł p. K. Wysockiego, „Łowiec Polski" z r. 1931 Nr. 11). Wyrazy „na usprawiedliwienie" ująłem w cudzysłów celowo, jakkolwiek bez intencji najmniejszego nawet ironizowania na temat autorytetu tak poważnej instytucji, jaką jest P. R. O. P. — zrobiłem to jednak, powtarzam, celowo, gdyż całe nieporozumienie tkwi, zdaniem mojem, w pewnem pomieszaniu pojęć i kompetencyj.

O co chodzi? Chodzi o to, że z łowieckiego punktu widzenia możemy podzielić ochronę przyrody na dwa dość wyraźnie rozgraniczone działy. Do pierwszego działu zaliczymy ochronę wszelkiej przyrody, nie należącej bezpośrednio do zainteresowań łowiectwa (ochrona flory, ochrona fauny niełownej i t. p.). Do opieki nad tym pierwszym działem myśliwi nie pretendują. Do drugiego działu należeć będzie ochrona zwierząt łownych. Tu już myśliwi mają dużo do powiedzenia. Wiemy dobrze, że przed paru dziesiątkami lat „czysta" idea ochrony przyrody wogóle nie istniała, że zjawiła się u nas stosunkowo niedawno, jako wytwór XX wieku, że przedtem krzewienie tej idei leżało niemal wyłącznie na barkach myśliwych i że — jak już napisałem — myśliwi zdali zaszczytnie egzamin z umiejętności racjonalnego ochraniania zwierząt łownych w czasach, gdy o ochronie przyrody nikt jeszcze nie wspominał. Już to jedno przemawiałoby za tezą, by ochronę przyrody zwierząt łownych pozostawić tym, którzy do tego są najbardziej powołani, t. j. myśliwym. I, broń Boże, nie dla uczczenia ich zasług dawnych — „historycznych", lecz właśnie dlatego, że zdali oni e g z a m i n d o ś w i a d c z e n i a.

Teraz — wzgląd drugi. Piszę się całkowicie pod zdaniem p. mec. Garczyńskiego, że świata myśliwych i obozu ochrony przyrody nie można wzajemnie sobie przeciwstawiać. Sam zresztą zdanie podobne wypowiedziałem, mówiąc, że łowiectwo i ochrona przyrody są synonimami („Łowiec Polski" Nr. 26 z r. 1931 str. 523). Dlaczego? Dlatego, że, rozpatrując ochronę przyrody, jako funkcję naukowo-przyrodniczą, zatracimy wogóle granicę pomiędzy nią i łowiectwem. Wszak, o ile wiem, w P. R. O. P. zasiada jeden myśliwy! Wszak pokaźną ilość myśliwych liczy ona wśród swoich korespondentów, zwolenników, sympatyków i t. d.!—Wszak—z drugiej strony—samo łowiectwo ma w swem łonie szereg legitymowanych uczonych o już ustalonym autorytecie, że wymienię na chybił trafił takie nazwiska, jak prof. Schechtla, prof. Domaniewskiego... Wszak dalej, jeżeli się nie mylę, paru uczonych członków P. R. O. P. łączy w sobie godność reprezentantów „obozu łowieckiego". Wszak wreszcie—pokaźna liczba myśliwych stanowi mający duże znaczenie dla nauki zastęp przyrodników-samouków, którzy, nie zgłębiając może zasad teoretycznych nauk przyrodniczych, zgłębili i nadal zgłębiają przyrodę w praktyce. (Nie będę tu przytaczał nazwisk, w obawie, by Panowie ci nie urazili się na mnie za przydomek „samouków", chociaż — Bogiem a prawdą — przydomek ten obok przydomka „genjalnych praktyków" mógłby im przynieść tylko wielki zaszczyt). Potem, co powiedziałem, stanie się chyba jasne, dlaczego zdziwiło mnie trochę odwołanie się jednego z „obozu myśliwych" do Państwowej Rady O. P., jako jedynej, jego zdaniem, instytucji, która „takie kwestje rozstrzygać ma pełne prawo i obowiązek" i która jest „najkompetentniejsza" do wypowiedzenia się w tej materji. Bo, pomijając już okoliczność, iż, zdaniem szeregu poważnych myśliwych - przyrodników, s a m o ł o w i e c t w o s t a n o w i j u ż d z i ś p o w a ż n ą, s a m o d z i e l n ą g a ł ą ź w i e d z y, takie odwołanie się do innego *) autorytetu stanowi jakgdyby przyznanie się, że nawet elita myśliwych składa się z ciemnego, nieokrzesanego, nieorjentującego się w elementarnych zasadach naukowo-przyrodniczych zespołu ludzi, którzy ani rusz samodzielnie nie potrafią zdecydować, czy np. odstrzał zwierzyny w porze godowej jest szkodliwy dla biologji tejże zwierzyny, czy nie... A któż tu może mieć głos bardziej ważki, bardziej decydujący, bardziej autorytatywny? Czy człowiek, co zgłębił wiedzę teoretyczną i umiłował jakąś ideę, lecz pracuje przeważnie przy biurku? Czy ów „praktyk genjalny", który nie tylko latami doświadczeń sprawdził aplikację teorji w praktyce, lecz który ma i n t e r e s, bezpośredni, egoistyczny interes, by zwierzęta łowne uchronić, rozmnożyć, wyselekcjonować?!



Z polowania na dziki w Rzemieniu. Fot. A. Szaszkiewicz.

Dobiegam do końca moich rozważań. Na przestrzeni paru ostatnich lat zarówno „Łowiec Polski", jak i „Łowiec" lwowski zamieściły kilkadziesiąt artykułów na temat polowań w porze godowej w ogólności, zaś polowań na jelenie na rykowisku w szczególności. Polemika powyższa toczyła się pomiędzy takimi autorytetami naszych czynników ochrony przyrody i łowiectwa, że co do meritum sprawy głosu nie zabierałem ani przedtem, ani dziś nie zamierzam zabierać.

*) innego, bo formalnie niełowieckiego.

Rozważania moje obracały się *) i obracają się dokoła pytań czysto kompetencyjnych:

Kto ma troszczyć się o ochronę zwierząt łownych: łowiectwo, czy ochrona przyrody? Który z tych dwóch czynników jest odpowiedzialny za ochronę zwierząt łownych wobec przyszłych pokoleń i kultury całego świata?

Zwłaszcza drugie pytanie jest ważne. Bo odpowiedzialność nie może być rozproszkowana, chociażby tylko pomiędzy dwa czynniki i chociażby pod hasłem „zgodnej współpracy" i „ścisłej koordynacji". Odpowiedzialność musi spoczywać w jednem ręku — w ręku jednego organu, czy będzie nim P. R. O. P., czy Polski Zw. Stow. Łow. czy, inny jakiś organ **).

Rad byłbym, gdyby dotychczasowi polemiści, wysuwający w tak ważnej dla łowiectwa sprawie argumenty przyrodniczo-biologiczne, etyczne, hodowlane etc., zechcieli również zastanowić się nad tem doniosłem pytaniem kompetencyjnem:

— Kto będzie odpowiedzialny?

*

Zacząłem od przeglądu ubiegłych roczników „Łowca Polskiego" i skończę na tym przeglądzie. W czasie tej „rewji mózgów łowieckich" dłużej zatrzymały uwagę moją trzy zdania: jednego myśliwego-praktyka i znanego publicysty oraz dwóch myśliwych-uczonych. Pierwsze dźwięczy jako podniesienie rękawicy i zapowiedź przyjęcia odpowiedzialności przez łowiectwo— za łowiectwo. Drugie brzmi z wiekim umiarem, z wielką ostrożnością, znamionującą człowieka, nawykłego do wygłaszania li tylko tez, skontrolowanych praktyką i doświadczeniem. Trzecie brzmi mocno, zwięźle — tak, jak powinien brzmieć aksjomat.

„Zwycięsko trzymanego w naszych rękach sztandaru Ś-go Huberta wydrzeć sobie nie damy!" (mec. W. Garczyński).

„O ile sposób odstrzału jelenia na rykowisku jest sportowy, to jest dobry, a takim bywa przy dokonywaniu przez dobrych myśliwych, to znaczy w niczem nie psuje normalnego toku pory godowej, a natomiast przez obecność w tym czasie, najniebezpieczniejszym, myśliwego w rewirze, zapobiega nadużyciu kłusowników, — to — odstrzału na rykowisku nie należy potępiać ze stanowiska ochrony przyrody". (prof. E. Schechtel).

„Nie trzeba dowodzić oczywistości, że polowanie i łowiska istnieją o tyle tylko, o ile istnieją myśliwi" (prof. J. Domaniewski).

Wszystkie trzy zdania są warte, by je złotem wyhaftować na zielonym sztandarze łowieckim...

A najdłużej zatrzymałem się na Nr. 37 „Łowca Polskiego" z r. 1929. Numer ten ozdobny i co do formy, i co do treści, zawierającej artykuły najprzedniejszych naszych piór łowieckich, nosi napis na karcie tytułowej „Łowiectwo polskie — ochronie przyrody". Co za wspaniały symbol: łowiectwo, które w ciągu stuleci było jedynym czynnikiem, ochraniającym przyrodę, które dopiero przed paru dziesiątkami lat ustąpiło cząstkę swych zadań nowopowstałej idei — składa hołd tej idei! Łowiectwo uznaje siebie oficjalnie synonimem ochrony przyrody! — I mimowoli — bez żadnych myśli ubocznych, bez żadnej ironji, a tylko z głębokiego poczucia słuszności i sprawiedliwości powstaje pytanie, czy doczekamy się rocznika „Ochrony Przyrody" z takim na karcie tytułowej napisem:

„Ochrona przyrody — łowiectwu!".

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI.

*) „Łowiec Polski" Nr. 26 z r. 1931 str. 524 i Nr. 5 z r. 1932 str. 85.

**) Dla uniknięcia ewent. zarzutów chcę wyraźnie zaznaczyć, że dokładnie zdaję sobie sprawę, iż formalną odpowiedzialność w tych rzeczach ponosić będzie Państwo, jako jedynie kompetentne do normowania w drodze ustawodawczej dziedzin łowiectwa i ochrony przyrody. Będzie to jednak odpowiedzialność czysto formalna. Odpowiedzialność faktyczną, odpowiedzialność moralną, ponosić będzie fachowy organ doradczy, a więc w naszych stosunkach albo Polski Zw. Stow. Łow. albo P. R. O. P. (o Instytucie Łow. nie wspominam, gdyż jest on, zdaniem mojem, w chwili obecnej organem o zbyt wąskim zakresie fachowości). *Przyp. aut.*

NIEOCZEKIWANA BATALJA.

I.

Sytym będąc epizodów niedźwiedzich na terenach tajg północnej Rosji — oczywiście jeszcze w czasach przedwojennych — aż paliłem się od chęci spróbowania szczęścia i zapolowania na tamtejsze „moszniki" (głuszce — po miejscowemu).

Umówiłem się więc z antreprenerami wypraw „ursusowych", na skutek czego ci ostatni, bagatelizując — podobnie drobne — według ich zdania, objekty łowne, wprowadzili mię w bezpośredni kontakt z tamtejszymi „promyszlennikami". Ostatni należeli do tych „ochotników" — co to tysiącami par ongiś wyduszali jarząbki, pardwy, cietrzewie i zające bielaki w zapadłych puszczach gub. Archangielskiej, Wołogodzkiej, Ołonieckiej i t. d.

Ci ludzie leśni, poprostu mówiąc kłusownicy pierwszej klasy — byli jednakże „duszami myśliwskiemi" — w całkowitem tego słowa znaczeniu!...

Rozmówiłem się więc szczegółowo jeszcze podczas zimowych polowań ze sławetnymi Griszą Wasiljewym i Fiedorem Wieniczewym.

Zacni brakonierzy, wyjaśnili mi — że w matecznikach północnych gubernij (tajga, prawie nieprzerwana od Nowogrodu ciągnie się aż do tundry Samojedzkiej — na jakie trzy tysiące kilometrów) — tokowiska „urogallusów" — bywają rozmieszczone — w nacznej bardzo jedno od drugiego odległości.

Możesz bracie 20 — 30 wiorst „przemaszerować" i na lekarstwo nie znajdziesz wiosną ani jednego „mosznika".

Natomiast, jeśli już odnalazłeś teren wiośnianych zapasów głuszców, to możesz być pewnym, że na paru dziesięcinach (hektarach) — spotkasz się z kilkunastu — a nawet, kilkudziesięciu śpiewakami!

Dlaczego zachodzi podobne zjawisko — kiedy zdawać by się mogło, że warunki dla toków

tych ptaków wszędzie wydają się dla nich odpowiednie?

Któż to wiedzieć może?...

Jeszcze jedno z wieczystych zagadnień świętej Matki - Przyrody!

Przeszłym pokoleniom podobał się — ten mianowicie, a nie inny zakątek lasu, a więc lat dziesiątkami, wierni tradycjom protoplastów, trzymają się ulubionych rewirów!

Ustalona została cena pięciu rubli od każdego zdobytego przez sługę łaskawych Czytelników „mosznika" — vulgo — głuszca; — postanowiliśmy też, że jeden z moich kontrahentów — zadepeszuje do mej Wierzchowni — kiedy już na dobre grać poczną.

Drugi zaś, po należytem zbadaniu tokowiska — zamieszka w jego pobliżu i jak oka w głowie pilnować i ochraniać od innych nieproszonych intruzów — będzie!

Ja zaś w kilka dni — miałem zjechać i „zanurkować" — na parę tygodni w mroki dalekich ostępów!..

Po „gawrowych" więc ekspedycjach — powróciłem do domu — z niecierpliwością wyczekując zbawiennego telegramu, który miał mi odkryć Sezam niesamowitych, nieznanych jeszcze delicyj myśliwskich na tajemniczych arktycznych niemal rojstach, śród dzikiej, pierwotnej natury i niemniej prymitywnych jej mieszkańców!

Dreszcze oczekiwanych rozkoszy — wprawiały mię w stan prawie gorączkowy!.. A jednak pierwsze te moje toki ołonieckie miały finał zgoła nieoczekiwany!

Przeistoczyły się albowiem w „batalję" — lecz wcale nie „głuszcowego" charakteru!

Zaiste — niezbadane bywają wyroki Św. Huberta!

II.

„Gotowo — prijeżżajtie"... — głosiła depesza!

Błyskawicznie opuściłem więc rozśpiewane już w bzach wierzchowieńskich na dobre słowiki, gdyż działo się to już w pierwszych dniach maja starego stylu — po odbytych rzetelnie, naszych normalnych tokach poleskich i ze zrozumiałym w podobnych razach pośpiechem, już mnie w domu nie było!

Dwudniowa podróż, w luksusowym ekspresie —Kijów — Petersburg, rozmarzenie ustawiczne w takt rytmu miękkich resorów pulmanowskich wagonów, trawiący niepokój: oby tylko nie zapóźno, oby prędzej być na miejscu!

Przyjazd do byłej stolicy — natenczas jeszcze białych carów i, jak to często bywa, niespodziewany pech, — a nawet „super-pech"!

Pierwszej wagi sprawy majątkowe w jednem z ministerstw przygważdżają mię do miasta złego!

Choćbyś pękł — przed tygodniem — ani rusz!

Telegrafuję więc, do Wieniczewa, że jestem już w Pitrze i że za kilka dni przybędę.

A tu, jak na złość — sprawa się jeszcze przewleka.

Naturalnie leci ode mnie druga wiadomość o tem, już nawet terminowa.

— No, ale myślę, — kacap siedzi sobie tam i pilnuje! — okres toków, aż do końca maja murowany w tej strefie — więc wszystko będzie dobrze! Zdążysz jeszcze imć panie Adamie!

Nakoniec! zlitował się nade mną nasz patron miłościwy!

Po paru tygodniach pakuję się — z moim strzelcem, wiernym kozakiem o wspaniałych wąsach, Maksymem — do archaicznego pociągu kolei północnej!

Jadę już nareszcie! dzięki Ci Św. Hubercie!, Lokomotywa, drzewem opalana, z czasów niemal imć pana Stefensona, ciągnie nas choć powoli, ale za to — pewnie — ku rejonom borealnym! Jak miłem jest sapanie dychawicznej maszyny i zapach dymu drew brzozowych! — rzekłbyś podsmak rozkoszy siedzenia w kurzeniach przeróżnych Polesia ukochanego. A ów cichy splendor i zaduma białych nocy — gorączka oczekiwania nowych przeżyć — które to podnoszą temperaturę grzesznego ciała — niemal do 39 stopni! Nad ranem dopiero dnia drugiego lądujemy na nędznym przystanku, w okolicznych mszarach i sążniach oraz „kubikach" materjałów drzewnych zatopionym!..

— A my to barin (panie) — straciliśmy wszelką nadzieję — że przyjedziesz! szutka skazat' (łatwo powiedzieć) — Griszka, już tam w lesie, od dwóch tygodni „ochraniajet" tych moszników — ale, za to tok „sławnyj" — sztuk pewnych do trzydziestu „piewcow" (śpiewaków) liczyć można! Łoszadki (koniki) czekają — wiorst z pięćdziesiąt i dojedziemy do „myzy" (chutoru) mojego kuma Martjanowa do Szimosiera — a stamtąd tylko, dwadzieścia — ale, już na swoich dwoich (pieszo) z bagażem, aż do szatra (kurzenia) — nad brzegiem rzeki Świrz — a budkę dobrą z „jelnika" (świerczyny) postawiliśmy! Tam sobie barin dobrze odpoczniesz i na drugi wieczór „szagom marsz" (krokiem marsz) — na te moszniki — „naszczołkajem" (natłuczemy) ich, aż czortów znudzi! Wiem, że tyś nie „woskresnyj ochotnik" (nie niedzielny strzelec) — więc — „w put' dorogu! (jazda w drogę).



Dziesiątak. Kruszyna. Fot. R. ks. Lubomirska.

Aż trzęsło mię całego od tych różowych wiadomości i raportów!

Pod wieczór byliśmy już na „myzie" starego niedźwiedziarza, zacnego „pomora" Martjanowa. Bajeczna ilość szklanek herbaty „wysmoktana" została, fundamentalna zakąska ze świeżo złowionych rybek i pierogów przeróżnych — słodki sen zatem na pierzynach „połatiej" (łóżek) gościnnego starowiera

i już tej samej nocy wlekliśmy się z „rugającym" Maksymem! „A żeby cholera z takiem polowaniem!— czy to warto tłuc się — jak „durnyje" (durnie) — po takiem „nieszczęściu" — ale „pan każet — sługa musit"!

Fantasmogarją była cała ta „peregrynacja" — ze sznurkiem mużyków, dźwigających nasze bagaże, gęsiego idących — poprzez mszarniki bezgraniczne — po przez kładki zdradzieckie — w mrokach zielonych świerczyn niebotycznych — w dżunglach łozin i brzeźniaków.

O godzinie 10-tej w nocy jesteśmy w naszym czasowym „homie" — przy którego ogniu ze stoicyzmem drzemie sławetny Griszka. Budzimy go.

Panuje jeszcze pomrok północny — ale jest dość jasno — około dwunastej pocznie „strona bielić" na dobre!

Dziwnem mi nieco się wydaje, że coś jakby nie bardzo zachwycony jest z naszego przybycia zaspany i dziwnie obojętny „ochraniacz głuszcowy"!

— A już i nie wierzył, że barin przyjedziesz — myślałem — w Pitierie zagulat' z diewczonkami izwolili, — a teraz barin się opóźni i iść już nie warto! — Dlaczego? — Za nic w świecie! — Odpocznę — napijemy się czajku (herbatki) i dziś jeszcze pójdę wysłuchać i... napewno wrócę z kilkoma mosznikami.

— Jej Bohu — nie stoit! (nie warto). — Jakto — taki kawał drogi odwalić i nie być nawet na toku!

— Pójdziemy lepiej barin na jarząbki, wabić ich na piszczik — sielezniej (kaczorów) masa jest — walezniki (słonki) ciągną dobrze kosaczi (cietrzewie) — aż strach, jak tokują!

— Czyś ty zwarjował Grisza — robi mu uwagę Wieniczew, — nie pilnowałeś chyba moszników, czy co?

— Pilnować — to pilnowałem! — och, któż mógł wiedzieć?

— Albo co? — zaniepokoiłem się... — Jasno odczuwam, że coś „źle patrzy" — z ócz mego Griszi!

— Pozwólcie barin — jeśli on taki durak (dureń)— że niechce iść, to ja sam waszą miłość zaprowadzę — przecież dobrze wiem, gdzie jest tokowisko — a on — niech z waszym człowiekiem — szałasa pilnuje...

Kilka chwil jeszcze i po gruntownem „czajepitju" ciepła noc polarna — wizją poświaty zamroczona, pieściwie pochłonęła moją i Wieniczewa sylwetkę! Tok był nie dalej, niż wiorstę od obozowiska!

III.

W bajecznej koloryzacji okresu tej tak krótkiej nocy — siedzę na swym stołku myśliwskim! Jestem u celu marzeń na tokowisku dalekiej północy! Wspomnienia i mary innych rozkoszy, podobnych, na polskich mokradłach! — odumarłych już wrażeń — radości „venatorskich" roje całe pod innymi stopniami geograficznemi — złotym mirażem cisną się do głowy! — Boże mój wielki! czyż mogą być ludzie, od myśliwych szczęśliwsi? Czas upływa! Już się dobrze „przecierać" poczyna. „Treba szczob uże hłusiec hrał" — jak mówią poleszuki!? A tu nic! — absolutnie nic: „citus mutus". Obserwuję zdumienie na bladej od emocji twarzy Wieniczewa.

— Czto eto znaczit' barin?

...Cisza — pogoda wymarzona i nic? Złe myśli poczynają rodzić się w mej mózgownicy!

Raptem... cudowne — zawsze i wszędzie jednakie klapnięcie! jedno! — drugie!... początek!

Za chwil kilka zapewne naokół „klapać" będą — jak w sklepie zegarmistrza!

Zaśpiewał!... Znowu!... rżnie pieśń za pieśnią, widocznie płynie ona z gąszczu jodły — o jakie kroków pięćdziesiąt od nas!

Napawam się nią, delektuję, — ale — zamilka jak zaklęty! — Co u djabła!? Niema co robić! ruszam się — za blisko jestem od niego! — słyszę akurat, tylko co polała się perlista kaskada „klapań".

Podczas, gdy wezmę pierwszego — inne się rozśpiewają!... Nie może być inaczej!

W parę minut byłem już na suchym terenie, pod samym pieśniarzem. Z trudnością, śród gąszczu choin widzę go!

Gra, gra — śpiewa jak anioł! ...ale... ale — on jeden tylko! Decyduję się wyczekać innych. Tymczasem, rozkoszuję się jego widokiem!... Jak na dłoni widoczny jest cały jego zarys! — aż drga na suchej gałęzi — wspaniały — róznamiętniony „in summo grada"!

Rozwidnia się — już zupełnie.

— Strielajtie barin! — strielajtie, — błagalnie szepce Wieniczew.

— Strzelać jego „jednego" — broń Boże.

...Z godzinę „zalewał mię swą harmonją — ów trubadur tajgi ołonieckiej i... ręka moja — nie „podniosła" się do strzału!

Za kryminał poczytywałbym sobie wyeksmitować go z puszczy rodzinnej! Wieniczew aż ledwo nie mdleje!

A kiedy to — w majestacie swej czerwieni, słońce na pogodę olśniło purpurą i złotem świat Boży! — gdy „naśpiewany" do syta już głuszec — odleciał sobie — pod wpływem pewnych „formujących się" zwątpień — zbadaliśmy z Wieniczewem dokładnie całe tokowisko. Groza prawdy — tak, jak oliwa na wodę wypłynęła!

Tu — szczątki sterówek od skrzydeł, tam — kilka piór z wachlarza! — gdzieindziej — kupka puchu lub pierza!

— Wibyty tok na czistotu — zakonkludował mój socjasz!... — Ale przez kogo? — Grisza miał od barina otrzymać pięć rubli od każdego — a na „wogzale" (dworcu) lub targu Kargopolskim, nikt mu więcej dwóch nie dałby!

— Czort znajet, szczo eto takoje? — poźiwiom, — uwidim! (pożyjemy, zobaczymy).

IV.

I zobaczyłem istotnie!... Kiedy to w kilka godzin po tem obudziłem się na swem balsamicznem posłaniu z jedliny i rzuciłem okiem po za czeluście szałasu nagle usłyszałem!... Co to takiego? Klaskanie jakieś — chyba głuszce w biały dzień — nie „urzędowo" zagrały? Później szamotanie się wściekłe. ...potok iście rosyjskiej koloratury z „reminiscencją" najdziwaczniejszych kombinacyj miłosnych protoplastów, rodów Wasiljewych i Wieniczewych!

...Griszka mój z Fiedorem — za bary się wzięli! — walą się „po mordach", kłębią się w „boksie" prymitywnym!... Oszaleli, w ataku furji — dobroduszne mużyki krótko mówiąc.

Z kwiecistych ich zdań i zwrotów wymiarkowałem, że sławetny Griszka, straciwszy nadzieję mego przyjazdu zadecydował, że lepszy rydz — jak nic; sikorka w garści — jak żóraw w niebiosach!

Skusiwszy się — na propozycję dzierżawcy bufetu po dwa ruble od głuszca — wytłukł co do nogi nieszczęsne „urogallusy" — oprócz jedynego niedobitka, — pozostawiwszy po sobie „tabula rasa" — na tem tokowisku!..

Obecnie zawstydzony i zrozpaczony, że „kombinacja" udała się „pod psem" — po otrzymanem dobrze zasłużonem „laniu" — zwiał gdzie pieprz rośnie! — zaginął w świerczynach, jak duch leśny — pozostawiając mi Wieniczewa na pociechę i też, coprawda, wyśmienite toki cietrzewi, ciągi słonek, odstrzał kaczorów, któremi to, jeszcze z tydzień „napawałem się" — dowoli! Tym razem odszukać nowe tereny głuszcowe już się nam nie udało! Powetowałem to sobie w sezonach następnych — ale? czyż nie warto być na tokowisku, na którem to zamiast głuszców odbyły się niesamowite batalje — ludzkie?

Chociaż stanowczo te ostatnie djabelnie nie estetyczny i wstrętny widok przedstawiały!...

Chyba dla rozmaitości i to... w pojedyńczym wypadku! — nieprawdaż Czytelnicy najmilsi?

ADAM RZEWUSKI



Z TAJEMNIC WĘDRÓWEK NASZYCH PTAKÓW.

I. SZLAKI WĘDROWEK SŁONKI.

(Scolopax rusticola L.).

Sprawa wędrówek ptaków, szczególniej naszych ptaków łownych interesuje myśliwych, podobnie jak cały świat przyrodniczy chyba od zarania wszelkich przyrodniczych badań. Dopiero jednak od skoordynowania badań avifenologicznych z wynalezioną w r. 1899 przez skromnego nauczyciela duńskiego Mortensena, metodą badania przy pomocy obrączkowania w ad hoc do tego celu powołanych stacjach badania wędrówek ptaków, można powiedzieć, iż studjum to poszło na inne, realne tory. Odsyłając Sz. Czytelników do doskonałych, rzeczowych artykułów pióra kierownika i twórcy polskiej Stacji Badania Wędrówek Ptaków przy Państwowem Muzem Zoologicznem w Warszawie prof. Janusza Domaniewskiego w N-rach 16 i 17.31 oraz 11.32, które każdy przyrodnik i myśliwy z pewnością z przyjemnością przeczytał, dowiadując się o szerokiej akcji badania zjawisk wędrówek ptaków na ziemiach polskich, stanowiących dotąd białą plamę na miejscach szlaków wędrówek najważniejszych i najpospolitszych naszych ptaków wędrownych.

Już pierwsze badania nad ciągiem ptaków wędrujących przekonały badaczy, iż odbywa się on zasadniczo w dwojaki sposób: szerokim frontem i szlakami. Przy pierwszym rodzaju ciągu, wędrówki odbywają się na szerokiej przestrzeni, zazwyczaj nie przekraczającej jednak szerokości zasięgu lęgowego danego gatunku. Pojedyńcze ptaki lub grupy ptaków ciągną w kierunku zimowiska, wzdłuż linij równoległych, pomiędzy ich stanowiskami lęgowemi, a zimowiskiem. Natomiast wędrówki szlakami odróżniają się od pierwszego typu wędrówek tem, iż przebiegają na przestrzeni zasadniczo węższej, niż zasięg ich miejscowości lęgowych. Dalszą różnicą drugiego typu wędrówek jest fakt pewnej regularności przebiegu drogi wędrówek. Poza większem nasileniem, wędrówka szlakami odróżnia się jeszcze i tem, iż częstokroć zawiera znaczne odchylenia w swoim przebiegu, kierując się na wschód lub zachód, a nawet u niektórych ptaków na północ w drodze do zimowisk. Jest rzeczą oczywistą, iż pojęcie szlaku niema nic wspólnego z naszym terminem droga, tak, jak droga mleczna stanowi tylko coś względnie podobnego do dróg ziemskich.

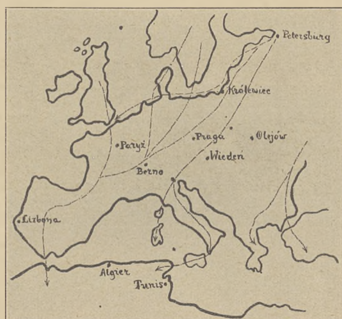
W bieżącym artykule pragnąłbym podać najważniejsze dane, dotyczące wędrówek słonki, jednego z najciekawszych, a jak twierdzi większość myśliwych, najcenniejszych naszych ptaków łownych: ...„polowanie na słonki jest... wzruszające, dziwnie elektryzujące cały organizm myśliwego, każde jest odmienne i zabawne, ile miotów, tyle niespodzianek... nie znam", pisze Kazimierz hr. Wodzicki, najlepszy znawca i badacz obyczajów tego ptaka", większej myśliwskiej rozkoszy, jak w jesieni, gdy mnogo jest słonek i licznie wylatują. Tajemniczy i nieobliczalny podczas polowania, bardziej jest jeszcze interesujący dla przyrodnika pod względem swoich obyczajów, niejednokrotnie jeszcze w wielu szczegółach niejasnych i nie dość dokładnie poznanych.

Pod względem biologicznym uderza nas przedewszystkiem nadzwyczaj szeroki zasięg słonki, której miejsca lęgowe, a więc ojczyzna, obejmuje całą Europę za wyjątkiem kilku wysp północnych, dalej Azję środkową i północną, nawet tak dalekie wyspy, jak Madera, Azory lub wyspy Kanaryjskie, mają posiadać

słonki, tam się lęgnące. Już ten nadzwyczaj szeroki zasięg słonki wskazuje na duże zdolności przystosowania się tego ptaka i na nadzwyczaj skomplikowane stosunki przy wędrówce na południe. Jak wiemy już z doświadczenia, w kniei ciąg słonek jest częstokroć zagadką, nad której rozwiązaniem trudzą się bezskutecznie myśliwi; ileż to razy polując na słonki dzień po dniu w tych samych rewirach, spotykamy słonki w dużej ilości, a znów w innych wypadkach po jednem pojawieniu się słonek mniej lub więcej licznem, przy najdokładniejszych poszukiwaniach z psem lub naganką, wyszukać ich nie sposób mimo, iż pora ciągu wcale jeszcze nie minęła. Częściowe rozwiązanie problemu wędrówek słonek przyniosły dopiero ostatnie dziesiątki lat, kiedy przy pomocy na wielką skalę przeprowadzonego obrączkowania udało się przedewszystkiem stwierdzić dużą stałość i przywiązanie do miejsca pobytu. I tak dwie słonki, zaobrączkowane w Czechach przez 2 lata powracały do swojej ojczyzny, jedna słonka duńska była nawet przez 6 lat obserwowana w promieniu około 300 kroków od miejsca pierwotnego zaobrączkowania. Również obrączkowanie pozwoliło stwierdzić, że u słonek spotyka się np. na wyspach brytyjskich poszczególne jednostki, pozostające, mimo odciągnięcia większości na miejscu swojego lęgu. Kto wie, czy do tych właśnie osobników zaliczyć należy pojedyncze słonki, zabijane u nas na polowaniach w grudniu lub nawet styczniu, wtedy, gdy gros słonek doleciało już dawno do swoich zimowisk.

Dotychczasowe wyniki badań co do szlaków wędrówek słonki przedstawia załączona rycina, na której schematycznie wyznaczono poszczególne drogi poprzez kontynent europejski. Jak widzimy, drogi te przebiegają zasadniczo, jak szlaki wędrówek większości naszych ptaków europejskich, głównie ze wschodu na południowy zachód, kierując się bądź-to do południowej Europy, gdzie część słonek europejskich zimuje, bądź poprzez morze Śródziemne do Afryki, dokąd dociera druga partja wędrowców, bardziej ciepłej Afryki pożądających. W szczególności drogi te przedstawiają się jak następuje: 1 Słonki skandynawskie kierują się poprzez morze Północne (Helgoland) do Francji, 2) Część słonek północno-rosyjskich kieruje się poprzez Niemcy ku południowej Francji, 3) Druga część słonek rosyjskich znowuż bierze kierunek bardziej południowy i prawdopodobnie przez Polskę, Śląsk i Austrję kieruje się ku morzu Śródziemnemu, 4) Wreszcie trzecia część tych samych słonek z północnych okolic Rosji (okolice Petersburga) kieruje się wprost na Zachód, przez Anglję i Belgję, obierając drogę wzdłuż wybrzeża Bałtyku i morza Północnego. 5) Osobną partję, dołączającą się do szlaku rosyjsko-polskiego, stanowią dobrze poznane, dzięki obrączkowaniu, słonki Czech, które skierowywują swój ciąg na Korsykę i dalej na południe. 6) Słonki, zamieszkujące Anglję znowuż posiadają kierunek wędrówek bardziej południowy przez Kanał i środkową Francję. Wreszcie słonki z Niemiec, szczególniej południowych, zamiast dołączyć się do szlaku pod 3) wymienionego, kierują się na zachód i omijając Alpy, przyłączają do słonek skandynawskich i angielskich. Zimowiska wszystkich tych słonek znajdują się częściowo w południowej Europie lub na wyspach śródziemnomorskich, częściowo przelatują one morze Śródziemne przez Sycylję, Sardynję lub Gibraltar, by osiąść na leże zimowe w Afryce Północnej.

Całkiem odrębną grupę stanowią 7) słonki południowej i środkowej Rosji, które, dążąc przez Rumunję ku południowi, przelatują deltę Dunaju i dzielą się na dwie grupy: szlak grecki, przecinający Bałkany, a więc Macedonję i Grecję, oraz bardziej wschodni, kierujący się poprzez morza Marmara i Anatolję ku Syrji. Czy nasze słonki, szczególnie kresów środkowych i południowo-wschodnich tej drogi nie obierają, nie jest do tej pory definitywnie wyjaśnionem. Jedyne, nadzwyczaj sumienne i wieloletnie badania przeprowadził swojego czasu pół wieku temu dziad mój, Kazimierz Wodzicki. Spostrzeżenia te wskazują, że taki szlak wędrowny słonek prowadził wtedy przez Olejów (województwo Tarnopol), na dziale wód pomiędzy dorzeczem Wisły i Dniestru. Czy szlak ten, głośny i znany dzięki publikacjom obserwatora, prowadził dalej ku południowi przez Karpaty, czy też słonki, tak obficie ciągnące przez „gościniec olejowski", jak to stwierdzają jego kilkudziesięcioletnie badania, skierowywały się, omijając Węgry i Karpaty, ku Besarabji i Rumunji to rozstrzygnąć trudno, gdyż w epoce tej badano jedynie przy pomocy avifenologji, dającej jak wiadomo jedynie niekompletne dane. Że szlak anatolijsko-syryjski ma pewne znaczenie dla naszych słonek wykazują to spostrzeżenia Karola Brzozowskiego (1881), poczynione w Syrji i Anatolji w latach osiemdziesiątych, gdzie bywają ciągi tak obfite, jak w południowej lub środkowej Europie, przyczem wyraźnie autor ten rozróżnia słonki wschodniej Europy od ciągów słonek z okolic, bardziej na wschód położonych.



Szlaki wędrówki słonki.

Na zakończenie jeszcze parę uwag o pewnych specyficznych właściwościach wędrówek słonek. Wspomniana już perjodyczność ciągów masowych była już przezemnie podkreślona. Ciągi takie miały miejsce np. w latach 1908 — 1910, lub jak pisze Brzozowski w Sy-

rji w zimie 1879/80, kiedy słonki ciągnęły w masach idących w setki tysięcy ku niemałej radości i pożytkowi tubylców. Co jest powodem tych masowych wędrówek, na to trudno dać dziś dostateczne wyjaśnienie. Te masowe ciągi pozwoliły określić czas przelotu i szybkość osiąganą przez słonkę na ciągu jesiennym. Ze spostrzeżeń tych wynika, iż słonki ciągną przedewszystkiem nocą, przelatując przestrzenie, dochodzące do 400 — 500 km., w czasie jednej nocy. Wracając jeszcze do sposobu ciągu to zaznaczyć należy, że wedle istniejących spostrzeżeń odbywa się on najczęściej szerokim frontem, przybierając jednak często charakter szlaków, przebiegających wzdłuż linij, na rycinie załączonej przedstawionych.

Kończąc ten krótki szkic, dotyczący wędrówek słonki, żywić należy nadzieję, iż przyszłe badania naszej Stacji Badania Wędrówek Ptaków obejmą i słonkę. Niewątpliwie wszyscy myśliwi, posiadający w swoich obwodach łowieckich słonki lęgowe, przyczynią się do pracy Stacji i wyjaśnienia niejednej jeszcze zagadki dotyczącej tego naszego szlachetnego ptaka łownego.

DR. KAZIMIERZ WODZICKI.



Z LITERATURY ŁOWIECKIEJ.

W POLU I W LESIE.

Pojawienie się w obecnych czasach na rynku księgarskim nowej książki myśliwskiej uważam za rzecz niezwykłą. W dobie nieznanego dotąd kryzysu, w czasach, kiedy od lat kilku trwa stagnacja na rynku księgarskim, kiedy prochem pokrywa się książka, interesująca szeroki ogół, cóż mówić dopiero o książce łowieckiej, przeznaczonej dla specjalnej kasty ludzi — zwanych myśliwymi. Rękopisów cennych rzeczy myśliwskich leży wiele w tekach autorskich i znaleźć nie mogą nakładcy. A jeśli tu i ówdzie znajdzie się nakładca, wówczas sprzedanie książki w takim zakresie, aby pokryła przynajmniej koszty jej wydania, staje się orzechem, którego zgryzienie bywa dziś rzeczą wysoce niepewną.

Za prawdziwą zasługę poczytać należy Polskiemu Związkowi Stowarzyszeń Łowieckich, wydanie w czasie obecnego kryzysu, książki prof. Władysława Gürtlera p. t. „W polu i w lesie". Praca ta powinna zainteresować szeroki świat myśliwych, ziemian, leśników i miłośników przyrody, i pomimo niezbyt sprzyjającej konjunktury znaleźć zasłużony rynek zbytu. Składają się bowiem na to trzy poważne przyczyny:

1) powaga nakładcy t. j. Pol. Zw. Stow. Łowieckich,
2) imię autora, znanego pisarza i myśliwego *),
3) niska cena — 1 złoty.

Książka Gürtlera zawiera — jak czytamy w tytule — rady i wskazania dla zawodowych myśliwych, hodowców zwierzyny i strażników łowieckich. Na całość składa się osiem rozdziałów. W rozdziale wstępnym wykazuje autor całkiem słusznie — znaczenie łowiectwa pod względem ekonomicznym, opierając się na statystyce krajów obcych i własnego. Wykazuje, że łowiectwo jest w gospodarce państwowej czynnikiem bardzo poważnym, dającym w obrotach kilkudziesięcio-miljonową pozycję, kórą sfery miarodajne muszą respektować.

Zkolei omawia autor przygotowanie terenów pod względem łowieckim, a więc dostarczanie żywności zwierzynie łownej, znaczenie lizawek, wodopojów, paśników i remiz oraz sposoby ich urządzania, ilustrując rozdział kilku rycinami. Rozdział trzeci „Tępienie drapieżników" jest najobszerniejszym w tej broszurze, w nim to autor nawołuje do tępienia drapieżników drogą różnych sposobów. Zgodzić się należy z tem „tępieniem", o ile idzie np. o bażantarnie, bo tam, jak w kurniku, ani lis, ani tchórz, ani krogulec nie jest pożądanym gościem, lecz w rewirach, gdzie zwierzyna hasa na wolności, słowo „tępić" uważam za wyrażenie niebezpieczne, rozumiem je bowiem jako bezapelacyjną zagładę. Autor jest specjalnym znawcą ptaków drapieżnych, podaje więc ścisłe o ich wiadomości, bardzo ważne dla każdego myśliwego, a tem ważniejsze, że rozróżnianie poszczególnych gatunków ptaków drapieżnych jest bardzo trudne i pod pretekstem strzelania np. jastrzębi-gołębiarzy zabijane są masowo tak pożyteczne myszołowy.

Wychodząc z założenia, że myśliwym jest ten, kto hoduje zwierzynę, a nie ten, kto ją tylko strzela, znajdujemy w dalszym rozdziale wyczerpujące i nadzwyczaj cenne uwagi, dotyczące hodowli kurapatwy, bażanta, zająca i dzikiego indyka, którego hodowlą zajęli się ostatnio niektórzy hodowcy. Wreszcie czytamy o sposobach hodowli t. zw. „krekuch" t. j. kaczek myśliwskich.

Jakkolwiek coraz dziś mniej myśliwych, polujących z psem, uważam podany w omawianym podręczniku

*) Prof. Guertler wydał dotąd: 1) Obrazki myśliwskie, (2 wydania: 1917 i 1928), 2) Nasze skrzydlate drapieżniki, 3) Towarzystwo myśliwych w Rzeszowie, pozatem pisał liczne artykuły w „Łowcu Polskim" i w „Łowcu".

„Krótki zarys tresury psów myśliwskich" za bardzo wskazany i konieczny.

Rozdział o przygotowaniach i urządzaniu polowań we wszystkich porach roku na wszelką zwierzynę i ptactwo oraz rozdział następny „Obowiązki i sposób zachowania się służby łowieckiej przed, podczas i po polowaniu" wykazują, że autor jest wytrawnym nemrodem, wiele polował, zna gospodarkę łowiecką i organizację polowań.

Broszurę zamyka rozdział o przysiędze, jaką składa strażnik łowiecki, i o jej znaczeniu. Zawiera on tytuły: „Rota przysięgi", „Opaska", „Obowiązki", „Odpowiedzialność".

Książka „W polu i w lesie" spełnia całkowicie swe zadanie. Jest ona katechizmem dla szarych żołnierzy w służbie Św. Huberta, a ciekawem przypomnieniem niejednej prawdy — dla weteranów kunsztu łowieckiego.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

Ś. P. GEN. JÓZEF STILLER.

Ś. p. Józef Stiller, emerytowany generał dywizji, zmarły tutaj w końcu obiegłego roku, był postacią miary nieprzeciętnej — człowiekiem niezwykłej szlachetności, wielkiego wdzięku — myśliwym wysokiej klasy.

Urodzony w Rudniku nad Sanem, jako syn dyrektora dóbr i lasów, własności wówczas hr. Hompeschów, całem sercem i wrażliwą duszą ukochał ziemię ojczystą, a w rozległych łowiskach rudnickich, pod kierownictwem ojca swego i hr. Hompescha, myśliwych w wielkim stylu, rozwinął wrodzone walory i wyrósł sam również na pierwszorzędnego myśliwca.

Z Krakowem złączyły się losy Zmarłego w końcu wielkiej wojny, kiedy zamianowany generałem brygady, po przebyciu szeregu lat na przeróżnych frontach, objął komendę naszego miasta. A objął ją — zaiste— w arcypoważnej chwili... Było to w początku roku 1918. Osławiony „pokój brzeski" wstrząsnął do głębi krakowianami. Rozpoczęły się wiece i demonstracje uliczne, a ówczesny komendant miasta (niejaki generał Z. — o polskiem — niestety nazwisku) — wytoczył na ulice kulomioty. Sytuacja była nader naprężona. Wówczas udało się wpływowym jednostkom przeforsować zmianę na stanowisku dowódcy miasta. Wybór szczęśliwy padł na ś. p. gen. Stillera. Znikły kulomioty z odwachu, a osobisty takt zmarłego generała i jego rozumne perswazje, uspokoiły wzburzone umysły.

Przeszedłszy już w wolnej ojczyźnie w stan spoczynku, w stopniu generała dywizji, pozostał ś. p. Zmarły na stałe w Krakowie. Zakłada tutaj wzorowe ognisko kultury łowieckiej: Klub myśliwski im. Św. Huberta, którego jest duszą, długoletnim prezesem i członkiem honorowym, a skoro założono oddział Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, powierzono mu jednomyślnie prezesurę, którą to godność do zgonu piastował.

Zasmucona i przejęta do głębi stratą czcigodnego swego prezesa i najwykwintniejszego towarzysza łowieckich uciech, śle mu drużyna łowiecka „Towarzystwo myśliwskie im. Św. Huberta" na wędrówkę poza grób — słowa gorącego i serdecznego pożegnania.

SZKODNICTWO JEŻA W REWIRZE.

Zdawałoby się, że jeż jest najniewinniejszem pod słońcem stworzeniem i że żyje tylko na to, aby zjadać jaszczurki, węże, żmije, żaby, ropuchy, napychać się owadami lub polować na myszy... Takie zresztą powszechnie panuje o nim mniemanie.

Tymczasem pilne obserwacje jego życia mówią o nim co innego, i także, iż jeż nie pogardza jajkami ptaków, gnieżdżących się na ziemi, a więc jajami kuropatw, bażantów i innych, że napada na młode ptaki, a nawet na niewyrośnięte króliki i zające i że atakuje drób domowy.

Przypominam sobie z lat dziecięcych taki wypadek. W kurniku wysiedziała raz kwoka swoje kurczęta. Te rosły szczęśliwie jak na drożdżach i doczekały się wieku dwutygodniowego...

Pewnego dnia przybiega do mojej ś. p. matki zadyszana służąca, przynosi w ręku srodze poszarpane i w połowie już zjedzone kurczę, i tak prawi: „Kurczę zagryzł wielki jeż! Odebrałam mu biedactwo. Nie chciał go z paszczy wypuścić! Siedzi teraz w kącie!"

Gdyśmy z matką wpadli do kurnika, zobaczyliśmy ze zgrozą jeża przy innem, już przez niego zabitem kurczęciu. Trzymał je pazurami i zębami tak silnie, że trzeba było użyć siły, aby mu ofiarę odebrać. Broniąc zaś swojego łupu, mruczał i prychał i ustąpić nie chciał...

Dopiero uderzenie po nim kijem, sprawiło, że się odczepił i podreptał gdzieś pod belki.. Wobec oczywistej zbrodni musiało się go usunąć.

Nie zabito go jednak. Służąca zapakowała go do worka i na polecenie matki wyniosła daleko do lasu.

W kilka lat później zauważyłem pewnego wiosennego dnia zabitego na chłopskiem obejściu jeża. Nadszedłem w chwili, gdy już chłopi odprawili nad nim swój samosąd.

Gdy zapytałem, dlaczego to uczynili, powiedzieli mi, że jeż ten udusił w stajni kilka kurcząt i że go na gorącym uczynku właśnie schwytali. Ażeby stwierdzić winę jeża ponad wszelką wątpliwość, tembardziej, że chciałem stanąć w jego obronie, kazałem go rozciąć, wydobyć żołądek i kiszki, i znalazłem tam mięso, pierze i inne pozostałości po kurczętach... Od tego czasu zmieniłem swoje zdanie o bezwzględnej użyteczności tego zwierzęcia.

Innym razem przyniósł mi gajowy tygodniowego zajączka, pogryzionego w niemożliwy sposób, z głę-

bokiemi ranami na karku i na brzuchu. „Wydarłem go, proszę pana, z paszczy jeża", rzekł strażnik... „Siedział na nim, szarpał i ustąpić nie chciał... Zabiłem go też bez namysłu. Nim go zagryzł, to go wymęczył porządnie. Zajączek piszczał i płakał... Przybiegłem na jego skargę, ale się spóźniłem, biedactwo już nie żyło..."

Naprowadzam tych kilka danych na dowód, że jeż może być szkodnikiem.

Ciekawem tylko byłoby stwierdzić, czy jeż czatował na zająca, czy też natknął się na niego przypadkiem.

Ulubionym przysmakiem jeża są jaja kuropatw i bażantów; znalazłszy je, rozbija i wypija wszystkie, niszcząc w ten sposób cały wysiłek matki i wszystkie nadzieje myśliwych. O takich wypadkach meldowała służba łowiecka dość często ś. p. mojemu ojcu.

Jeśli więc jeż napastuje i zabija kurczęta lub domowe kaczęta, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że niszczy on i młode bażanciki i kuropatewki, małe zajączki i króliki. Jest więc groźnym szkodnikiem wśród drobnej zwierzyny i trzeba go w jakiś sposób usuwać z rewiru; może niekoniecznie zabijać, boć mimo wszystko, jest pod niejednym względem bardzo pożyteczny, ale przenosić w inne, mniej szanowane miejsca, np. do ogrodów i sadów.

WŁ. GURTLER.

Z ORZECZEŃ NAJWYŻSZEGO TRYBUNAŁU ADMINISTRACYJNEGO.

(L. Rej. 6071/30 z dnia 17 lutego 1932 r.).

Zarząd Spółki Łowieckiej w Kasztowcach umową z dnia 25 września 1927 r. oddał polowanie w swoim obwodzie łowieckim w dzierżawę skarżącemu na lat 6.

Starosta w Skałacie orzeczeniem z 6 sierpnia 1928 r., powołując się na art. 31 rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z 3 grudnia 1927 r. o prawie łowieckiem (poz. 934 Dz. Ust.), uznał tę umowę za rozwiązaną, ponieważ skarżący, zdaniem starosty, nie może otrzymać karty łowieckiej, gdyż nie daje żadnej gwarancji co do prowadzenia racjonalnej gospodarki łowieckiej. Orzeczenie to uchylił urząd wojewódzki w Tarnopolu decyzją z 3 grudnia 1928, a to dla braku podstawy faktycznej ze wspomnianego art. 31, ponieważ starosta nie wydał decyzji, odmawiającej karty łowieckiej skarżącemu, a tem samem nie miał podstawy do unieważnienia umowy dzierżawnej.

W październiku 1928 r. skarżący wniósł do starostwa prośbę o wydanie mu karty na broń i karty łowieckiej. Starosta orzeczeniem z dnia 4 grudnia 1929 r. załatwił tę prośbę odmownie, a to z powodu zachodzącej obawy nadużycia broni, oraz braku pewności, iż petent będzie traktował łowiectwo, jako poważną gałęź gospodarstwa krajowego. Równocześnie odrębnem orzeczeniem starosta uznał na zasadzie art. 31 prawa łowieckiego wspomnianą umowę dzierżawną za rozwiązaną.

Urząd wojewódzki orzeczeniem z 16 maja 1930 r. nie uwzględnił odwołania skarżącego od decyzji starosty w sprawie wydania karty na broń i karty łowieckiej i zatwierdził tę decyzję z powodów w niej przytoczonych, dalszem zaś orzeczeniem z 22 maja 1930 r. zatwierdził także decyzję starosty w przedmiocie unieważnienia umowy dzierżawnej, jako uzasadniona art. art. 28 i 31 prawa łowieckego.

Na te dwa ostatnie orzeczenia urzędu wojewódzkiego w Tarnopolu skarżący wniósł skargę do Najwyższego Trybunału Administracyjnego, który, rozpoznając sprawę w dniu 17 lutego b. r., rozważył, co następuje:

Skarżący podnosi przedewszystkiem, że orzeczenie urzędu wojewódzkiego z dnia 3 grudnia 1928 r., uchylające pierwotną decyzję starosty co do uznania umowy dzierżawnej za nieważną, stało się prawomocne i wobec tego nie może być zmienione, o ile stan faktyczny pozostał bez zmiany, a w zaskarżonych orzeczeniach urzędu wojewódzkiego nie powołano się na żadną zmianę stanu faktycznego. Zarzut ten Najwyższy Trybunał Administracyjny uznał za nietrafny, ponieważ orzeczeniem z 3 grudnia 1928 r. urząd wojewódzki uchylił uznanie umowy dzierżawnej za rozwiązaną, dlatego że starosta nie wydał uprzednio decyzji odmawiającej wydania skarżącemu karty łowieckiej, zaskarżone zaś obecnie orzeczenie z 22 maja 1930 r. oparto właśnie na fakcie nowym, a mianowicie, na tem, że w międzyczasie od-



Czternastak. Kruszyna. Fot. R. ks. Lubomirska.

mówiono skarżącemu wydania karty łowieckiej Co do wywodów skargi, dotyczących rzeczy samej, zaznaczyć należy, że według art. 31 prawa łowieckiego umowę dzierżawną należy uznać za rozwiązaną z winy dzierżawcy, jeżeli dzierżawca polowania nie może otrzymać karty łowieckiej, lub zostanie jej pozbawiony. Według zaś postanowień, zawartych w art. 28 punkt 1 tegoż prawa, wydania karty łowieckiej należy odmówić osobom, które nie czynią zadość warunkom, potrzebnym do uzyskania pozwolenia na broń. W myśl jednak art. 75 rozporządzenia Prezydenta R. P. z dnia 22 marca 1928 r. (poz. 341 Dz. Ust.). Każda decyzja powinna zawierać powołanie się na podstawę prawną, czyli przepis materjalno - prawny, na którym opiera stwierdzenie, dotyczące braku powyższych warunków. Gdy zaś w danej sprawie tego zaniechano, a przez to zaniechanie utrudniono skarżącemu dalszą obronę prawną w przedmiocie karty łowieckiej, Trybunał uznał, że zaskarżone orzeczenie z 16 maja 1930 r., które właśnie dotyczy odmowy wydania karty łowieckiej, narusza formy postępowania administracyjnego ze szkodą dla skarżącego. Ponieważ przytem drugie zaskarżone orzeczenie z dnia 22 maja 1930 r. — dotyczące uznania umowy dzierżawnej za rozwiązaną, oparto na tem, że skarżący nie może otrzymać karty łowieckiej, legalność więc tegoż orzeczenia z 22 maja 1930 r. uzależniona jest od legalności orzeczenia z 16 maja 1930 r., Trybunał oba zaskarżone orzeczenia uchylił z powodu wadliwości postępowania i zarządził zwrot wniesionej opłaty skarżącemu.

ST.

ODEZWA DO MYŚLIWYCH.

Przed paru laty zwróciłem się na łamach „Łowca Polskiego" do myśliwych z apelem o dostarczenie podpisanemu głów głuszców i cietrzewi. W pracy, poświęconej szacie godowej ptaków, wydanej w r. 1929 przez Polską Akademję Umiejętności, uwzględniłem i narośle naszych ptaków łownych, stanowiących jak wiadomo cenne trofeum myśliwskie. Niestety dla braku materjału szereg właściwości brwi godowej głuszca i cietrzewia mógł być jedynie pobieżnie uwzględniony na podstawe danych z literatury, a np. tak ciekawy i dla myśliwego objaw głuchoty u głuszca, podczas jego pieśni, nie mógł być wcale opracowanym. W odpowiedzi na ten apel, skierowany do myśliwych uzyskałem bardzo szczupły materjał *), który nie mógł wystarczyć do definitywnego opracowania interesującej nas kwestji. Mając w b. r. zamiar przystąpić łącznie z jednym z naszych chemików - myśliwych do dalszych badań w tym zakresie, przyczem i strona fizjologiczna mogłaby być uwzględniona, zwracam się z ponowną prośbą do Myśliwych, szczególnie do tych, którzy posiadając już pierwsze trofeum, mogliby przy szczęśliwem spotkaniu następnem, podpisanemu dla celów naukowych odstąpić. Rozchodzi się o głowy łącznie z szyją, lub całego ptaka, możliwie bezpośrednio po zabiciu, pospieszną przesyłką, pod adresem podpisanego wysyłane.

DR. KAZIMIERZ WODZICKI,
Docent Uniw. Jagiellońskiego.
Kraków, 6 św. Anny, Zakład Anatomji Porównawczej U. J.

*) W szczególności pp. Fr. Raciborski i Ant. hr. Starzeński, którym na tem miejscu składam serdeczne podziękowanie.

OD ADMINISTRACJI.

Pozwalamy sobie przypomnieć Pp. Prenumeratorom, że czas już najwyższy odnowić prenumeratę na miesiąc kwiecień i kwartał II r. b.

Należność wpłacać prosimy na konto P. K. O. № 8082, Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

Na blankiecie wyraźnie prosimy podać nazwisko i adres.

KOMITET REDAKCYJNY: J. Bleszyński, K. Czampe, J. Domaniewski, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, W. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, H. Knothe, Wł. Korsak, E. hr. Krasiński, red. St. Krzywoszewski, prof. dr. E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, A. hr. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Fr. Unrug, Wł. Zabiełło, i dr. St. Zaborowski.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.
W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów erdakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą a 5-ą pop. w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Książki myśliwskie.

Następujące dzieła są do nabycia w redakcji z ustępstwem 15% dla prenumeratorów „Łowca P.":
„W polu i w lesie" Wł. Gürtlera — 1,00 zł. bez rabatu.

Głuszec, monografja B. Świętorzeckiego z rysunkami Włodzimierza Korsaka — Cena 2,00 zł.

Nasze skrzydlate drapieżniki: Gołębiarz, krogulec, sokół wędrowny. Monografja myśliwsko-przyrodnicza Władysława Gürtlera — 2,30 zł.

Wilk, monografja Bolesława Świętorzeckiego — 3,00.

Cietrzew, monografja Włodzimierza Korsaka. Praca odznaczona I nagrodą na konkursie literackim, z przedmową red. Juljana Ejsmonda — 2,50 zł.

Jak unikać wypadków z broni? — Jana Sztolcmana. — 25 gr.

Podręcznik do zbierania i konserwowania zwierząt — d-ra Władysława Polińskiego
zesz. 1 — 1.40 zł.; zesz. 2 — 2.50 zł.; zesz. 3 — 1,20 zł.; zesz. 4 — 50 gr.; zesz. 5 — 1,00 zł.; zesz. 6 — 2,00 zł.; zesz. 7 — 2,00 zł.

Jana Sztolcmana: 1) „Żubr" — 3,30 zł. 2) „Nad Nilem Niebieskim" — 6,00 zł.

Ze strzelbą na ramieniu — A. hr. Rzewuskiego — 8 zł.

W stepach i puszczach — Władysława Czerniejewskiego — 1.00 zł.

Wł. Janty Połczyńskiego: 1) „Św. Eustachy"—3,00 zł. 2) „Polująca Pani"—3,50 zł. 3) „Estetyka Łowiectwa" — 2,00 zł.

Obrazki Łowieckie — E. hr. Krasińskiego — 3 zł.

„O świcie" — Aleksandra Janty Połczyńskiego — 4 zł.

Kazimierza hr. Wodzickiego „Wspomnienia z życia łowieckiego". — 7 zł. (Dla PP. Prenumeratorów „Łowca Polskiego" 25% rabatu). „Skowronek" — 3.60 zł. „Kruk" — 4.50 zł. „Słonka" — 4 zł.

J. W. Kobylański. „O zwierzyńcu w Katowicach" 3 zł., „Jak powstał w Odrodzonej Polsce pierwszy zwierzyniec w Warszawie" 3 zł., „O zwierzyńcu w Malinowszczyźnie" 1 zł., „O dawnym i obecnym zwierzyńcu w Krakowie" 1,50, „O zwierzyńcu w Częstochowie, Grodnie, Katowicach, Krakowie i Lesznie" 1 zł., „Humor i łacina myśliwska" 1,50.

Za zaliczeniem najmniejsza dopłata — 1.40 zł.

Za przesyłkę poleconą (przy wpłacie zgóry) — dolicza się 90 groszy.

OGŁOSZENIA DROBNE

Młode foxterriery, po rasowych rodzicach, niezrównanych na dziki i lisy (do nor), tanio sprzeda Zarząd dóbr Przewrotne, p. Głogów pod Rzeszowem, Małopolska.

Nasiona sadzonki drzew leśnych i roślin pastewnych dla zwierzyny oraz **żywe bażanty** i **jaja** bażancie poleca po cenach konkurencyjnych Zarząd Lasów XX. Czartoryskich **Nadleśnictwo Babki** poczta **Krzesiny** Wielkopolska.

Puhacz do sprzedania. Wiadomość telefoniczna 8-91-35. Halina Lilpop.

Unikat ornitologiczny jedyny w Polsce, białą cyrankę zamienię na precyzyjny, automatyczny sztucerek Winchester cal. 22. Zgłoszenia w administracji Łowca p. Kamieński.

ZIEMIA

Krzewi umiłowanie ziemi ojczystej.
Omawia metody i drogi pracy krajoznawczej.
Podaje opisy krajobrazów, bogactw naturalnych, miast, miasteczek, wsi.
Informuje o pracach, mających na celu poznanie kraju.
Propaguje ochronę przyrody i zabytków.
Zamieszcza wskazówki turystyczne.
Prowadzi stałą kronikę krajoznawczą, turystyczną, konserwatorską i muzealną.
Rozpatrywa literaturę krajoznawczą i turystyczną.
Ilustruje licznemi zdjęciami fotograficznemi wszystkie artykuły.

20-ty rok istnienia pisma świadczy o jego potrzebie.

Prenumerata wynosi: kwartalnie zł. 7.50, rocznie zł. 29.—

WARSZAWA, KAROWA 31. TELEFON 642-50.
KONTO P. K. O. 2222.



SKŁAD BRONI „J. SOSNOWSKI"

Warszawa, Ossolińskich 1. Tel. 647-47. Adres telegr. SOSLIS.

Wyłączne przedstawicielstwa oraz sprzedaż wszechświatowej sławy strzelb myśliwskich:

G. DEFOURNY SEVRIN, Liège	VERNEY CARRON et Cie, Paris
A. FORGERON „	VICKERS Ltd., London
A. FRANCOTTE „	J. NOWOTNY, Praha
LEPAGE „	

SZTUCERY I TRÓJLUFKI,
wykonane z zastosowaniem ostatnich wymagań techniki.

Warsztaty reperacyjne. Oferty i cenniki bezpłatne. Ceny i warunki najprzystępniejsze.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warecka 15.